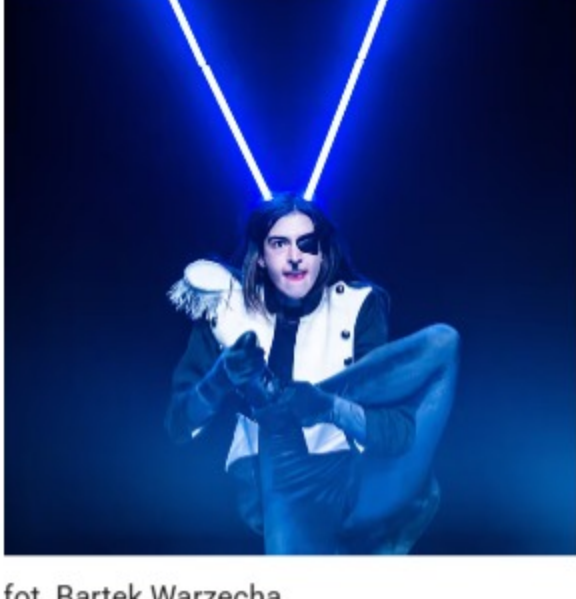


Nasza Prawia

BABA-DZIWO, reż. Dominika Knapik, Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu

Henryk Mazurkiewicz

aA aA aA



fot. Bartek Warzecha

Rzecz dzieje się w Prawii, czyli nigdzie. Czyli, jak możemy domniemywać, jednak w Polsce. W tej Polsce z późnych lat trzydziestych, kiedy została napisana *Baba Dziwo*. Ale też w tej dzisiejszej, jak najbardziej współczesnej, bo przecież sztuka Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wciąż nie straciła na aktualności. Niejedno nawet pod tym względem zyskała.

Dziwny kraj ta Prawia. Pelen paradoksów i sprzeczności. Bo na pierwszy rzut wygląda na to, że mamy do czynienia z najprawdziwszym królestwem kobiet. Przecież rzekłby nim nikt inny, tylko Jej Macierzyńska Wysokość Valida Vrana (świetna Irena Wójcik). Jednak wbrew tak imponującemu tytułowi, Prawii niezmiernie daleko jest do nowej Amazonii, czy innych tam *Seksmisji*. Wręcz przeciwnie, zupełnie – można by powiedzieć – na odwrót i jakby na opak. Pod twardą ręką swojej władczyni to niewielkie państwo równie twardym krokiem zmierza w kierunku jakiejś przykrej antyutopii pokroju *Opowieści podręcznej*.

Mąż tu – co z szowinistycznego powiedzenia stało się niekwestionowanym komunalem – odpowiada za żonę. Bo żona, jak każda kobieta, potrzebuje przecież (sic!) męskiej protekcji. A jak już o tę protekcję zadba, czy najprawdopodobniej zadbają o nią inni mężczyźni, posłuszna i oszczędna w słowach powinna przystąpić do spełnienia swego „naturalnego” powołania. Jak się domyślacie, niezbyt różniącego się od słynnego *die drei K: Kinder, Küche, Kirche*, czyli Dzieci, Kuchnia, Kościół. Może jedynie temu ostatniemu autorka nie poświęca należytej uwagi. Ale pierwsze dwa są na miejscu i w pełnej swej okazałości.

„Z miłością kuchci!” – poucza dyktatorka i urzędują swoim poddanym płci pięknej test z piecienia naleśników, jakby to był sprawdzian ich godności i wartości ludzkiej. Jednak *Küche* to jeszcze pół biedy. Znacznie groźniej wypada sprawa *Kinder*. Bo Jej Macierzyńska Mość ma wielkie i ambitne plany względem możliwości rozrodczych swych wiernych Prawianek. Chce, woli i żąda nowych Prawian. W znacznej, jak największej liczbie! Produkcji na skalę masową!

I tu świetny, inteligentny, pelen humoru i ironii tekst Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej zaczyna dotykać najbardziej chyba drażliwych na dzień dzisiejszy spraw – piekielnie i publiczystycznie aktualnych, ale przecież jakże fundamentalnych i ważnych. Bo chociaż podatek od bezdzietności jeszcze u nas nie został wprowadzony, to skąd możemy mieć pewność, że po jakimś czasie nie zostanie? Jeżeli historia, w tym też, a być może przede wszystkim, historia polityki, czegokolwiek jest nas w stanie nauczyć, to z pewnością tego, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Z ust Petroniki (świetna w tej roli Sara Celler-Jezińska), głównej (jednak bym się upierał, że głównej) bohaterki tej pouczającej tragifarsy pada gorzka i podsumowująca sprawę diagnoza: „O, najwidoczniej nie ma szaleństwa, którego by się nie dało narzucić ludzkości!”. Komu, jak nie jej, kobiecie-naukowcowi, w świecie, gdzie na podobne ekscesy spogląda się albo z protekcjonalną pobłażliwością, albo z jawnym potępieniem, o tym wiedzieć?

Do obowiązkowej dwuletniej służby dla zaludnienia kraju też jest nam jakby daleko. Ale kto by powiedział, jak daleko? A do całkowitego upaństwowienia kobiety? Przesadzam? Być może. Wiem jednak, że władza kusi, a biowładza kusi podwójnie. Znacznie mniej pewności mam natomiast odnośnie momentu, do którego możemy spokojnie bagatelizować sprawę, uważając podobne zapędy za fantazmaty jakieś marginalnej grupy radykałów. Gdzie właściwie leży ta granica, przekroczywszy którą, musimy zacząć się martwić? I jak jej nie pomylić z tą przykrą metą, która jedynie konstatuje, że jest już w sumie za późno? Sztuka Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, powstała w przededniu drugiej wojny światowej i podszyta świadomością naddciągającego szaleństwa, które udało się, jak wyżej, narzucić, jeżeli nie całej ludzkości, to znaczącej jej części, stawia przed nami te wszystkie niełatwe pytania. Sama zaś wojna znacząco je radykalizuje, bo pokazuje dowodnie, że z katastrofalnymi skutkami oblałiśmy podobny egzamin. I jeżeli teraz nie wyciągniemy wniosków, to następnym razem będzie po nas.

W taki sposób, chociaż w wiadomym skrócie i z pominięciem jednego z kluczowych wątków, o którym niżej, czytam i pojmuję przesłanie *Baby Dziwa*. Podobnie, jak podejrzewam i dlatego pozwoliłem sobie na tę skromną egzegezę, rozumieli je twórcy wałbrzyskiego spektaklu z reżyserką i choreografką Dominiką Knapik na czele. Sam tekst, jeżeli przyjrzeć się uważniej adaptacji Tomasza Jękota, nie uległ znaczącym zmianom. Ktoś z drugoplanowych postaci zmienił płć, innych, chyba rzeczywiście zbędnych, słusznie wycięto. Nic natomiast na siłę nie zostało uszczuplone. Niczego nie dopisano.

Główny i najważniejszy pomysł inscenizacyjny Knapik polegał na tym, żeby wszystkie powyższe treści zderzyć – posłużmy się określeniami z notki spektaklowej – z kabaretowymi i iluzjonistycznymi trickami. Jeżeli prościej, żeby zderzyć je z formą. Wyraźną, przemyślaną, dominującą. Dla tych celów niemalże kompletnie zrezygnowano ze scenografii, z trzech stron otaczając niewielką przestrzeń gry ciężkimi czarnymi kotarami. Nie bez przyczyny, rzecz jasna. Podobne tło umożliwiałoby właśnie jeden z tych tricków. Dzięki niemu ubrane w obcisłe, zasłaniające całe ciało i twarz, czarne stroje aktorki „znikali”, niemalże całkowicie wtapiając się w sceniczny krajobraz. Stawali się czymś na kształt bezkształtnych duchów, nadprzyrodzonych sił, dzięki którym listy z Urzędu Spraw Rodzinnych fruwały w powietrzu, podobnie jak stolik do seansów spirytystycznych.

Lecz nikt tu nikogo nie zamierza zwodzić i nabierać. To antyiluzja. Bo z zamierzenia niczego nie ukrywa. Prostota i naiwność wykorzystanych środków ciągle przyciąga naszą uwagę. Widzimy i wiemy, jak to wszystko zostało zrobione. Udajemy jednocześnie, dobrodusznie bawiąc się w obrębie zaproponowanej konwencji, że wszystko jak najbardziej gra. Gdy aktorzy siadają na niewidzialnych krzesłach, przymykamy oko na wystającą z nogawki metalową podporę. Podobnie odnajdujemy się w estetyce i technice kina niemego, z których garściami czerpię przedstawienie. Śmiało zgadamy się na oryginalne akrobacje i pantomimy, całkiem pasujące do nadekspresyjnego, pełnego niespodziewanych wybuchów śmiechu i głupich min aktorstwa. Żadnego sprzeciwu nie wzbudzają ani policjanci z megafonami zamiast uszu, wyglądający na niedojdowate podróbki Inspektora Gadżeta, ani wokalne popisy w stylu Jima Carrey’a ze złotej epoki *Ace’a Ventury*.

Samo w sobie wygląda to wszystko arcyzabawnie, bardzo kreatywnie i oryginalnie. Więcej nawet, Knapik demonstruje, że i w tym obszarze niejedno z wałbrzyskim zespołem (który – czego wspaniałym przykładem *Gdyby Pina nie paliła, to by żyła* – podobne „potańcówki” traktuje najczęściej ironią) da się osiągnąć. Nie jest to choreograficzny *dream team*, ale pod batutą dobrego dyrygenta, jak się okazuje, potrafi zadziwić. Jednocześnie nie da się uniknąć oczywistych i prostych w zasadzie pytań: Po co i dla czego? Co zyskuje tekst Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ubrany w ten cyrkowo-estradowy garnitur, do którego należy się przyzwyczaić, żeby móc skupić się jeszcze i na treści? Czyżby chodziło o podkreślenie kabaretowości, sztywności i sztuczności tych wszystkich narzuconych nam ról, tych masek, które zmuszeni jesteśmy codziennie zakładać?

Znaczniej mniej kontrowersyjną wydaje się decyzja z domalowaniem wszystkim kobietom słynnego minimalistycznego wąsika, który, zważywszy na okoliczności, jest wąsikiem tyleż hitlerowskim, co chaplinowskim. *It’s the hat* – jak głosi znany mem. Zaakcentowano tym sposobem, że dyktatorstwo i innego tego rodzaju kłocki, to sprawa męska. Bez wąsika wręcz niemożliwa, bo z wąsika, czytaj: z systemu patriarchalnego, wprost i bezpośrednio wynikająca. I nie ważne, kto stoi u steru – kobieta czy mężczyzna – skoro sam statek jest zbudowany tak, że płynie w jednym kierunku. To faktycznie nie statek, tylko prom jakiś, który raz za razem odwozi nas tam, gdzie być nie chcemy. Potrzebujemy więc nowych schematów, nowej metodologii, nowego podejścia. Sama zmiana tam, na wyższych szczeblach, nie wystarczy.

Dowodzi tego niezwykle mądra i przewrotna końcówka. Przypomina nieco tę z *Pachnidla* Patricka Süskinda. Monarchia absolutystyczna, gdzie niczym w wymarzonem przez Platona państwie unika się niebezpieczeństw sztuki dla sztuki oraz wszystkiego, co potrafi wywoływać niekontrolowane, niepożądane przez reżim emocje, upada dzięki... zapachowi. Dzięki wonnej nirwanie, w którą nie bez pomocy kreatywności chemiczki Petroniki popada Jej Macierzyńska Wysokość wraz z „uroczą w swojej doskonałej brzydocie” i wierną jak pies Baronówną Leliką Skwaczek (mimo zabiegów charakteryzatorów wciąż piękna Magdalena Jaworska). Ale kto koniec końców na tym spektakularnym upadku zyskuje Kobiety? Nie. „Dość mieliśmy kobiet!”. Tryumfuje mąż Petroniki, tchórzliwy oportunistą, kolaborancista i karierowicz Norman (Michał Kosela). Wychodzi na to, że od złej wersji patriarchatu ma uratować nas jego „lepsza” wersja. Bo innych opcji jakby brak. Przynajmniej w tej ich Prawii. A jak jest w naszej? W naszej Prawii?

13-03-2019

Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska
BABA-DZIWO
reżyseria i choreografia: Dominika Knapik
adaptacja i dramaturgia: Tomasz Jękot
scenografia i kostiumy: Karolina Mazur
reżyseria światła: Wolfgang Macher
opracowanie muzyczne: Dominika Knapik i Mateusz Flis
obsada: Angelika Cegielska, Sara Celler-Jezińska, Dorota Furmaniuk, Magdalena Jaworska (gościnnie), Irena Wójcik, Mateusz Flis, Michał Kosela, Wojciech Świeściak
oraz prof. Krystyna Duniec
premiera: 22.02.2019

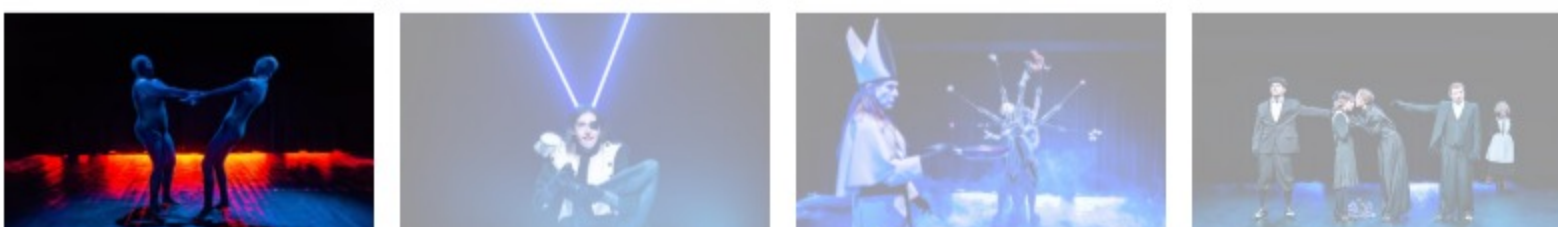
DOMINIKA KNAPIK MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA WAŁBRZYCH

TEATR DRAMATYCZNY IM. JERZEGO SZANIAWSKIEGO

BABA-DZIWO, reż. Dominika Knapik, Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu



Fot. Bartek Warzecha



Oglądasz zdjęcie 1 z 5

Szukaj w serwisie

Szukaj

REGIONY

POWIĄZANE TEATRY

SZANIAWSKI
Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego

PRZECZYTAJ TEŻ

Miroslaw Kocur
Janusze na gór szczytach

Piotr Olikusz
W poczekalni

Magdalena Figzał-Janikowska
Farsa – gorszy gatunek?

Lukasz Drewniak
Kolonatnik 60: Sny w popiele. I jak zwykle – narzekanie

Henryk Mazurkiewicz
Nie tym razem, Terry

Lukasz Drewniak
K/141: Nic nie ginie

BĄDZ NA BIEŻĄCO



Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Twój adres email

Dołącz

☐ Nie jestem robotem

reCAPTCHA
Prywatność - Warunki

Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Przeczytaj

- Świat
- Nadesłane
- Książki
- Varia
- Felietony
- Historia teatru
- Ludzie
- Rozmowy
- Opinie
- Recenzje

Inne

- Biblioteka
- Redakcja
- Patronaty
- Współpraca
- Szkola
- Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

 Facebook